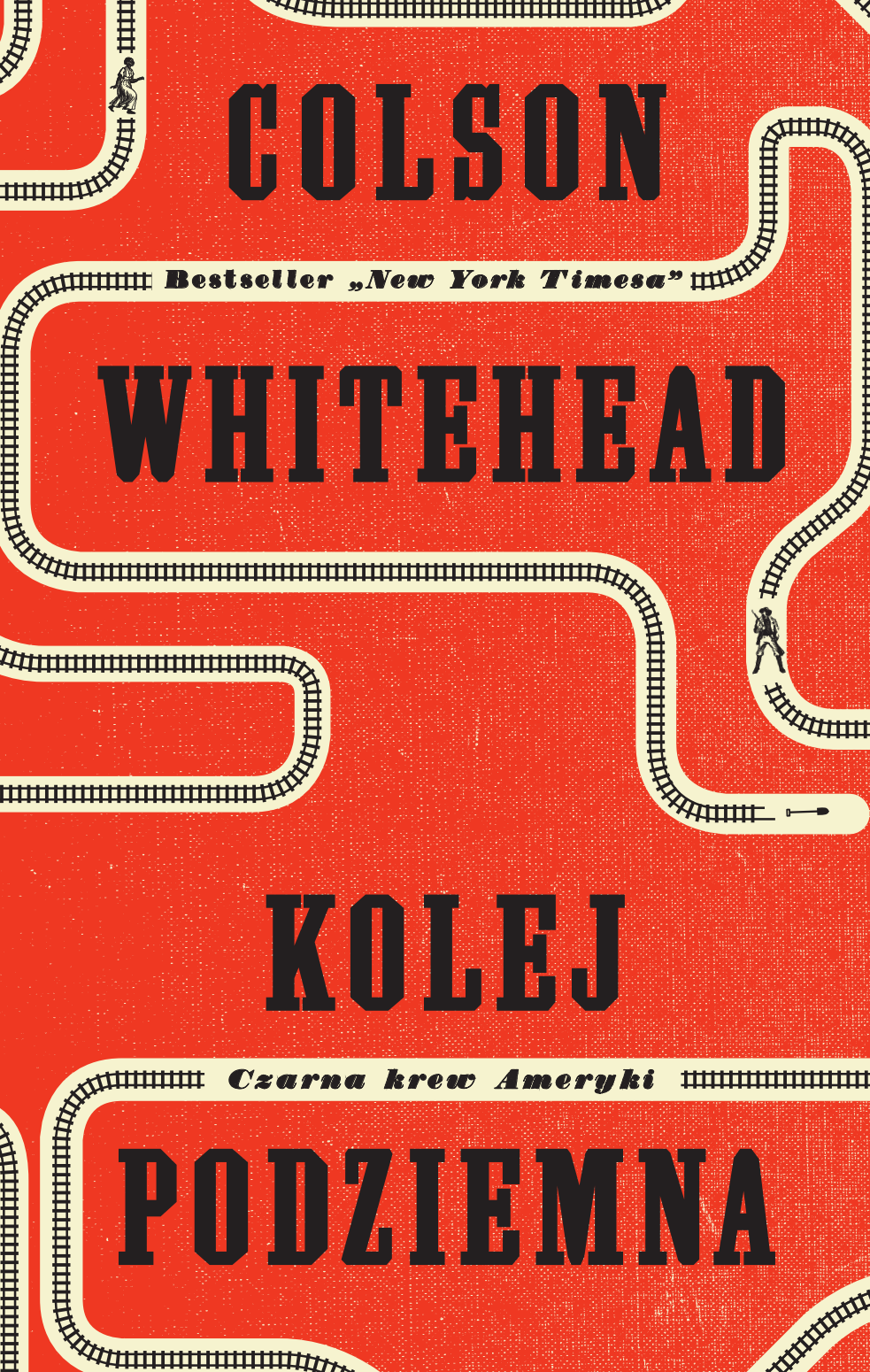




COLSON

Bestseller „New York Timesa”

WHITEHEAD

KOLEJ

Czarna krew Ameryki

PODZIEMNA



Jeśli ktoś chce zrozumieć ten kraj, musi pojechać koleją.
Pędząc przed siebie, wyrzycie z wagonu, a zobaczycie
prawdziwą twarz Ameryki.

Colson Whitehead, Kolej podziemna. Czarna krew Ameryki



Kiedy Caesar po raz pierwszy zaproponował Corze ucieczkę na północ, odmówiła.

Przemawiała przez nią jej babka. Babka Cory nigdy nie widziała oceanu aż do tamtego słonecznego popołudnia w porcie w Ouidah, gdy po pobycie w lochu fortu oślepił ją blask wody. W forcie trzymano ich do czasu przybycia statków. Dahomejscy bandyci najpierw porwali mężczyzn, a po miesiącu wrócili do jej wioski po kobiety i dzieci, by dwójkami zaprowadzić je, zakute w łańcuchy, nad morze. Patrząc w głąb ciemnego wejścia, Ajarry myślała, że tam na dole, w mroku, dołączy do ojca. Mężczyźni z wioski, którzy przeżyli, opowiedzieli jej potem, że kiedy nie był w stanie znieść tempa długiego marszu, handlarze niewolników rozbili mu głowę i zostawili zwłoki przy szlaku. Matka zmarła wiele lat wcześniej.

W drodze do fortu babkę Cory kilkakrotnie sprzedawano, przechodziła z rąk do rąk za muszelki i szklane paciorki.

ki. Trudno powiedzieć, ile zapłacono za nią w Ouidah, ponieważ weszła w skład większej transakcji – osiemdziesiąt osiem istnień ludzkich w zamian za sześćdziesiąt skrzyń rumu i prochu; była to stawka ustalona po zwyczajowych targach przeprowadzonych nadmorską mieszkanką języków. Sprawni mężczyźni oraz kobiety w wieku rozrodczym kosztowali więcej niż nieletni, co utrudniało jednostkowe obliczenia.

Nanny płynęła z Liverpoolu i miała już dwa postoje na Złotym Wybrzeżu. Kapitan mieszał nabytki, tak by nie skończyć z ładunkiem o wspólnej kulturze i jednym usposobieniu. Któż mógł wiedzieć, czy więźniowie nie wymyślą jakiegoś buntu, jeśli będą się posługiwać tym samym językiem? Ouidah było ostatnim portem, do którego przybijali przed wyruszeniem przez Atlantyk. Dwóch żółtówłosych marynarzy, nucąc, przewiozło Ajarry na statek łodzią wiosłową. Skórę mieli białą jak kość.

Smród w luku, mrok, ciasnota i krzyki ludzi przykutych do Ajarry łańcuchami doprowadzały ją do obłędu. Ze względu na młody wiek ciemieżcy nie od razu wyładowali na niej swoje żądze, ale po sześciu tygodniach rejsu kilku bardziej doświadczonych marynarzy wyciągnęło ją z luku. Podczas podróży do Ameryki dwa razy usiłowała się zabić, raz odmawiając sobie jedzenia, a raz próbując się utopić. W obu przypadkach marynarze jej to udaremniili, ponieważ dobrze znali pomysły i skłonności żywego towaru. Kiedy chciała rzucić się do morza, nie dotarła nawet do burty. Zdradziły ją służalcza postawa i żalosna mina, widziane już wcześniej u tysięcy niewolników. Skuto ją od stóp do głów, od stóp do

głów, w straszliwej niedoli.

Choć na aukcji w Ouidah bliscy Ajarry próbowali nie zostać rozdzieleni, resztę jej rodziny kupili portugalscy handlarze z fregaty *Vivilia*, którą cztery miesiące później znaleziono dryfującą dziesięć mil od wybrzeża Bermudów. Zaraza zabiła wszystkich na pokładzie. Władze kazały podpalić statek i patrzyły, jak skwierczy i tonie. Babka Cory nie wiedziała nic o jego losie. Do końca życia wyobrażała sobie, że kuzyni pracują gdzieś na północy dla dobrych i życzliwych panów, oddają się łżejszym zajęciom niż ona, tkają i plotą, a nie harują w polu. W jej opowieściach Isay, Sidoo i cała reszta znaleźli sposób, by wykupić się z niewoli, i żyli jako wolni ludzie w mieście Pensylwania, o którym usłyszała kiedyś w rozmowie dwóch białych. Te fantazje przynosiły Ajarry pocieszenie, ilekroć czuła, że pod ciężarem swych nieszczęść rozpadnie się na tysiąc kawałków.

Kolejny raz babka Cory została sprzedana po miesiącu spędzonym w lazarecie na Wyspie Sullivana, gdy lekarze potwierdzili, że ona i reszta ładunku przywiezionego na pokładzie *Nanny* są wolni od chorób. To był kolejny gorący dzień na giełdzie. Duże aukcje zawsze ściągały barwny tłum. Handlarze i pośrednicy z całego wybrzeża zjeżdżali do Charlestonu, by badać oczy, stawy i grzbiety wystawionych na sprzedaż, wypatrując chorób wenerycznych i innych przypadłości. Gapie żuli świeże ostrygi i gorącą kukurydzę, słuchając okrzyków licytatorów. Niewolnicy stali nadzy na podwyższeniu. Paru kupców zaciekle rywalizowało o grupę krzepkich Aszantów, Afrykanów słynących z pracowitości i muskulatury, a brygadzysta z kamieniolomu

nabył gromadę murzyniątek za niezwykle korzystną cenę. Pośród widzów babka Cory dostrzegła małego chłopca jeżdżącego kryształki cukru i zastanawiała się, co on takiego wkłada sobie do ust.

Tuż przed zachodem słońca pewien pośrednik kupił ją za dwieście dwadzieścia sześć dolarów. Poszłaby za więcej, gdyby nie zalew młodych dziewcząt w tym sezonie. Pośrednik miał ubranie z najbielszego materiału, jaki Ajarry w życiu widziała. Na jego palcach połyskiwały pierścienie wysadzone barwnymi kamieniami. Kiedy uszczypnęła ją w piersi, by sprawdzić, czy już dojrzała, poczuła zimno tych pierścieni na swojej skórze. Została oznaczona piętnem, nie po raz pierwszy ani ostatni, a potem skuta wraz z resztą zakupów dnia. Wieczorem, slaniając się w łańcuchach, karawana ruszyła na południe za małym powozem handlarza. *Nanny* popłynęła z powrotem do Liverpoolu wypełniona cukrem i tytoniem. Tym razem pod pokładem mniej było krzyków.

Można by myśleć, że nad babką Cory ciążyła klątwa, tyle razy sprzedawano ją, wymieniano i znowu zbywano przez kolejne kilka lat. Właściciele Ajarry bankrutowali z zaskakującą regularnością. Jej pierwszego pana oszukał człowiek, który sprzedał mu urządzenie mające przetwarzać bawełnę dwa razy szybciej niż odziarniarka Whitneya. Na papierze wszystko wyglądało obiecująco, w końcu jednak Ajarry została elementem majątku zlikwidowanego z rozkazu magistratu. Poszła za dwieście osiemnaście dolarów na pośpiesznie urządzonej aukcji. Na spadek ceny wpłynęły realia miejscowego rynku. Kolejny właściciel zmarł na puchlinę. Wdowa urządziła wyprzedaż, żeby sfinansować powrót do

Europy, gdzie było czysto. Ajarry przez trzy miesiące była własnością pewnego Walińczyka, który ostatecznie przegrał ją, troje innych niewolników oraz dwa tuczniki w wista. I tak dalej.

Jej cena się wahała. Kiedy sprzedają cię tyle razy, świat uczy cię uważności. Ajarry prędko zaczęła dostosowywać się do nowych plantacji, odróżniać tych, co łamią czarnuchów, od zwykłych okrutników, obiboków od pracowitych, donosicieli od potrafiących dochować tajemnicy. Przywykła do właścicieli i właścicielek o rozmaitym stopniu podłości, majątków różniących się środkami i ambicjami. Czasem trafiali się plantatorzy, którzy chcieli tylko żyć skromnie, a czasem ludzie pragnący zapanować nad światem, jakby wystarczyło ku temu przejęcie odpowiednio dużych gruntów. Dwieście czterdzieści osiem, dwieście sześćdziesiąt, dwieście siedemdziesiąt dolarów. Ajarry zawsze trafiała na plantacje cukru i indygo, raz tylko przez tydzień zwijała liście tytoniu, zanim znowu ją sprzedano. Do majątku zawitał handlarz szukający niewolnic w wieku rozrodczym, najlepiej uległych i z kompletem zębów. Ajarry była już kobietą. Wyjechała.

Wiedziała, że biali naukowcy zaglądają w głąb różnych rzeczy, by zrozumieć ich działanie. Ruch gwiazd po nocnym niebie, relacje humorów w organizmie. Temperatura potrzebna do obfitych zbiorów bawełny. Ajarry stworzyła naukę badającą jej własne czarne ciało i gromadziła spostrzeżenia. Każda rzecz miała wartość, a wraz z jej zmianą zmieniał się wszystko inne. Pęknięta tykwa była mniej warta od takiej, która trzyma wodę, a haczyk pozwalający

schwytać suma – od tego, z którego zdobycz się ześlizgnie. Amerykańska specyfika polegała na tym, że ludzie też są rzeczami. Starca, który nie przetrwa podróży przez ocean, lepiej się pozbyć, by ograniczyć straty. O młodego byczka z silnego plemienia klienci potrafili się zabijać. Młoda niewolnica zdolna wyrzucać z siebie małe była jak mennica: pieniądze, które rodzą pieniądze. Jeśli byłeś rzeczą – wozem albo koniem, albo niewolnikiem – twoja wartość określała twoje perspektywy. Ajarry pilnowała swego miejsca.

Wreszcie Georgia. Wysłannik plantacji Randallów kupił ją za dwieście dziewięćdziesiąt dwa dolary, mimo jej pustego spojrzenia, które pojawiło się niedawno i sprawiało, że wydawała się niespełna rozumu. Do końca życia nie wystawiła już nosa poza ziemię Randallów. Tu był jej dom, na tej wyspie, z dala od wszystkiego.

Babka Cory trzykrotnie wychodziła za mąż. Upodobała sobie szerokie ramiona i duże dłonie, zupełnie jak Stary Randall, choć pan i jego niewolnica całkiem inne prace mieli na myśli. Obie plantacje były dobrze zaopatrzone, dziewięćdziesięciu czarnuchów w północnej połówce i osiemdziesięciu pięciu w południowej. Ajarry zazwyczaj miała w czym wybierać. A gdy nie miała, czekała cierpliwie.

Jej pierwszy mąż zagustował w kukurydzianej whisky i z dużych dłoni zaczął robić duże pięści. Ajarry nie było żal, kiedy zniknął sprzedany na plantację trzciny cukrowej na Florydzie. Potem zesła się z uroczym chłopcem z południowej połówki. Zanim zmarł na cholerę, lubił dzielić się z nią opowieściami z Biblii, bo jego poprzedni właściciele liberalnie podchodzili do tematu niewolników i religii. Lubiała te

historie i przypowieści i uważała, że biali chyba mają rację: od gadania o zbawieniu Afrykaninowi różne myśli mogą przyjść do głowy. Biedni synowie Chama. Jej ostatniemu mężowi przebili uszy za kradzież miodu. Z ran sączyła się ropa, aż w końcu umarł.

Ajarry urodziła tym mężczyznom piątkę dzieci, zawsze w tym samym miejscu na deskach chaty, które wskazywała im później, ilekroć były niegrzeczne. Stąd się wzięliście i tam wróćcie, jeżeli nie będziecie się słuchać. Miała nadzieję, że jeśli nauczy dzieci, by były posłuszne jej, będą posłuszne wszystkim przyszłym panom i przeżyją. Dwóch chłopców zmarło w gorączkach. Jeden zranił się w stopę, bawiąc się zardzewiałym pługiem, i wdało się zakażenie. Najmłodszy już się nie obudził, kiedy nadzorca uderzył go w głowę drewnianym kłosem. Jedno dziecko po drugim. Przynajmniej ich nie sprzedano, powiedziała do Ajarry pewna stara kobieta. To prawda – wtedy jeszcze Randall rzadko sprzedawał maluchy. Wiedziało się, kiedy i jak umrą twoje dzieci. Jedynym, które dożyło dziesiątych urodzin, była matka Cory, Mabel.

Ajarry umarła wśród bawełny, pomiędzy torebkami nasiennymi, które kołysały się wokół niej niczym białe grzywy wzburzonego oceanu. Jako ostatnia ze swej wioski, od zakrzepu w mózgu, zgięta wpół między rzędami roślin, krwawiąc z nosa i tocząc pianę z ust. Jakby mogło się to stać gdziekolwiek indziej. Wolność była przeznaczona innym, obywatelom miasta Pensylwania, tętniącego życiem tysiąc mil na północ stąd. Od tamtej nocy, gdy Ajarry została porwana, stale ją wyceniano, codziennie budziła się na szali nowej wagi. Znaj

swoją wartość, a poznasz swoje miejsce w szeregu. Ucieczka z granic plantacji byłaby ucieczką od fundamentalnych zasad własnej egzystencji – niemożliwością.

Tamtego niedzielного wieczoru, kiedy Caesar opowiedział Corze o kolei podziemnej, a ona powiedziała „nie”, przemawiała przez nią babka.

Trzy tygodnie później powiedziała „tak”.

Tym razem przemówiła przez nią matka.

Georgia

TRZYDZIEŚCI DOLARÓW NAGRODY

Piątego dnia bieżącego miesiąca zbiegła prenumeratorowi zamieszkała w Salisbury murzyńska dziewczyna imieniem LIZZIE. Przypuszcza się, iż rzeczona dziewczyna przebywa w okolicach plantacji pani Steel. Wyplacę powyższą nagrodę za dostarczenie dziewczyny lub za informację o jej pobycie w jakimkolwiek areszcie tego stanu. Przestrzega się wszystkich przed udzieleniem schronienia rzeczonej dziewczynie pod karą przewidzianą prawem.

W.M. DIXON

18 lipca 1820

Urodziny Jockeya zdarzały się tylko raz lub dwa razy w roku. Starali się uczcić je porządnie. Zawsze przypadają w niedzielę, kiedy mieli pół dnia wolnego. O piętnastej nadzorcy ogłaszali koniec pracy, a wtedy północna plantacja rzucała się do przygotowań, po ławkach wykonując domowe obowiązki: naprawy, zbieranie mchu, łatanie ciekącego dachu. Święto miało pierwszeństwo, chyba że dostałeś przepustkę na wyjście do miasta, by sprzedawać towary albo nająć się na dniówkę. Nawet gdybyś chciał zrezygnować z dodatkowego zarobku – a nikt nie rezygnował – nie do pomyślenia byłby niewolnik tak zuchwały, by powiedzieć białemu, że nie będzie pracował, bo inny niewolnik ma urodziny. Każdy wiedział, że czarnuchy nie mają urodzin.

Cora siedziała na skraju swojej działki na klocku z kłonu cukrowego i wydłubywała brud spod paznokci. Gdy tylko mogła, na urodzinowe uroczystości przynosiła rzepy albo zieleninę, ale nic akurat nie wyrosło. W głębi alejki ktoś krzyknął, pewnie jeden z nowych chłopców niewytresowa-

nych jeszcze przez Connelly'ego, i wkrótce okrzyki przerozdiły się w sprzeczkę. Głosy były bardziej rozdrażnione niż gniewne, ale za to głośnie. Zapowiadały się pamiętne urodziny, skoro ludzie już teraz tak się gorączkowali.

– Gdybyś mogła sobie wybrać datę urodzin, to jaką? – zapytała Lovey.

Cora nie widziała jej twarzy, bo zza pleców dziewczyny świeciło słońce, ale znała minę przyjaciółki. Lovey była prostą dziewczyną, a dziś wieczór szykowało się święto. Rozkoszowała się tymi rzadkimi chwilami ucieczki, czy to w urodziny Jockeya, w Boże Narodzenie, czy w te wieczory podczas zbiorów, gdy każdy, kto miał dwie sprawne ręce, nie kładł się spać i pracował w polu, a Randallowie kazali nadzorcom roznosić kukurydzianą whisky, by niewolnicy byli zadowoleni. To wciąż była praca, ale w świetle księżyca szła lżej. Lovey zawsze pierwsza kazała skrzypkowi łapać za smyczek i pierwsza rwała się do tańca. Próbowwała pociągnąć za sobą stojącą z boku Corę, nie zważając na jej protesty. Chciała wirować z nią ramię w ramię, z każdym obrotem łapać na moment spojrzenie jakiegoś chłopca, i chciała, żeby Cora robiła to samo. Ona jednak zawsze wyrывała rękę i nigdy nie dołączała do tańca. Patrzyła.

– Już ci mówiłam, kiedy się urodziłam – odparła Cora.

Przyszła na świat zimą. Jej matka, Mabel, często skarżyła się na trudny poród, tęgi mróz tamtego poranka i wiatr wyjący w szparach chaty. Na to, że krwawiła przez wiele dni, a Connelly'emu nie chciało się wezwać lekarza, dopóki nie wyglądała jak zjawą. Czasem mózg Cory płał figle, zmieniając opowieść matki w jedno z jej własnych wspomnień,

wplatając w nią twarze duchów, martwych niewolników, patrzących na nią z góry z miłością i troską. Nawet tych, których nienawidziła, którzy ją kopali albo kradli jej jedzenie, kiedy matki zabrakło.

– Ale gdybyś mogła wybrać – powtórzyła Lovey.

– Tego się nie wybiera – powiedziała Cora. – Jest postanowione za ciebie.

– Skończ z tymi humorami – odparła Lovey i sobie poszła.

Cora masowała łydki, szczęśliwa, że przez chwilę nie musi stać na nogach. Święto czy nie, to właśnie tutaj trafiała co niedziela, kiedy pół dnia pracy dobiegało końca: przycupnięta na swoim siedzisku patrzyła, co by tu poprawić. Przez kilka godzin w tygodniu należała tylko do siebie, tak to widziała. Mogła pielic chwasty, wyłapywać dżdżownice, przerywać zieleninę i patrzeć spode łba na każdego, kto chciałby wtargnąć na jej terytorium. Pielęgnowanie grządki było koniecznością, ale również sygnałem, że od Dnia Siekiery jej determinacja nie osłabła.

Ziemia u stóp Cory miała historię, najstarszą historię, jaką ona знаła. Kiedy osiadła tam Ajarry po swym długim marszu na plantację, grządka była płachetkiem piachu za jej chatą na końcu długiego rzędu kwater niewolników. Dalej znajdowały się pola, a jeszcze dalej bagno. Potem pewnej nocy Randallowi przyśniło się białe morze aż po horyzont, więc przerzucił się z niezawodnego indyga na bawełnę z Sea Islands. Znalazł kontakty w Nowym Orleanie i dogadał się ze spekulantami mającymi wsparcie Banku Anglii. Pieniądze napływały takim strumieniem jak nigdy dotąd.

Europa łaknęła bawełny i potrzebowała, żeby ją nią karmić, bela za belą. Pewnego dnia tegim byczkom nakazano wyciąć drzewa, a wieczorem, gdy wrócili z pola, porąbali drewno na rząd nowych chat.

Gdy Cora patrzyła teraz na te czternaście chat, w których ludzie to znikali, to z nich wyskakiwali, przygotowując się do obchodów, nie umiała sobie wyobrazić, że kiedyś ich tam nie było. Choć podniszczone, a drewno skrzypiało z wyrzutem przy każdym kroku, miały w sobie coś wiecznego, tak jak wzgórze na zachodzie albo strumyk dzielący majątek na dwie części. Biła od nich trwałość, która z kolei w tych, co mieszkali tam i umierali, budziła ponadczasowe uczucia: zawiść i złość. Gdyby między starymi a nowymi chatami zostawiono więcej miejsca, nie doszłoby przez lata do wielu nieszczęść.

Biali wyklócali się przed obliczem sędziów o tę czy inną połąkę gruntu wytyczoną na mapie, oddaloną o sto mil. Nie wolnicy z równą pasją walczyli o maleńkie działki, które mieli pod stopami. Na pasie ziemi między chatami można było przywiązać kozę, zbudować kurnik albo coś posadzić, żeby mieć co jeść oprócz tłuczonych ziemniaków rozdawanych co rano przez kuchnię. I to pod warunkiem, że przyszło się pierwszym. Kiedy Randall, a potem jego synowie, postanawiali cię sprzedać, jeszcze tusz na umowie nie wyschł, a już ktoś zabierał twoją działkę. Kiedy twój sąsiad widział cię w wieczornej ciszy uśmiechniętego czy nucącego pod nosem, mogło mu przyjść do głowy nakłonić cię do rezygnacji z pretensji do ziemi za pomocą szantażu albo różnych prowokacji. Kto wysłuchałby twojej skargi? Tu nie było sędziów.

„Ale moja matka nikomu nie pozwoliła tknąć swojego pola – powiedziała córce Mabel. Polem nazwała je żartobliwie, bo chodziło o ledwie trzymetrowy skrawek. – Mówiła, że łeb młotkiem rozbije każdemu, kto choć na nie spojrzy”.

Wizja babki rzucającej się na innego niewolnika nie pasowała do wspomnień Cory o tej kobiecie, ale kiedy sama zaczęła opiekować się grządką, zrozumiała, że musiała to być prawda. Ajarry zachowała pieczę nad ogródkiem mimo przemian własnościowych. Randallowie wykupili ziemię Spencerów na północy, gdy tamci postanowili spróbować szczęścia na zachodzie. Potem nabyli plantację na południu, przerzucili się z uprawy ryżu na bawełnę i do każdego rzędu chat dobudowali jeszcze dwie, ale grządka Ajarry pozostała w samym środku, nietknięta niczym pniak, co sięga korzeniami zbyt głęboko. Po śmierci matki Mabel przejęła opiekę nad ogródkiem, uprawiała pochrzyn, okrę i co jeszcze przyszło jej do głowy. Jednak cały ambaras zaczął się dopiero wtedy, gdy ziemia przypadła Corze.

Kiedy Mabel zniknęła, Cora stała się zbłąkanym dzieckiem. Miała jedenaście lat, może dziesięć, coś koło tego – teraz już nikt nie mógł stwierdzić z pewnością. Ze świata wstrząśniętej dziewczynki odpłynęły kolory i zostały szare impresje. Pierwsza wróciła brązowawa czerwień gleby na rodzinnej działce. Dzięki niej Cora przebudziła się na ludzi i rzeczy, dlatego postanowiła nie oddawać tego skrawka, choć była młoda i drobna i nie miał się nią kto opiekować. Cicha, uparta Mabel nie cieszyła się sympatią, ale Ajarry

ludzie szanowali. Jej cień zapewniał ochronę. Większość pierwszych niewolników Randalla trafiła do piachu lub została sprzedana, a więc w ten czy inny sposób odeszli. Czy został ktokolwiek lojalny wobec babki Cory? Dziewczynka przemierzyła całą wioskę. Nikogo. Wszyscy już nie żyli.

Walczyła o tę ziemię. Przychodziły dzieci, małe szkodniki zbyt młode do prawdziwej pracy. Przepędzała je, gdy deptały po kielkach i wykopywały pędy pochrzynu, krzyczała na nie tym samym tonem, jakiego używała na urodzinach Jockeya, by zagonić je do zabaw i gonitw. Radziła sobie z nimi bez złości.

Zza kulis wyłaniali się jednak pretendenci. Na przykład Ava. Matka Cory i ona dorastały na plantacji w tym samym czasie. Obie spotkała ta sama gościnność Randallów. Okropności były czymś tak częstym i tak znajomym, że traktowało się je trochę jak pogodę, a najbardziej wymyślnych w swym bestialstwie umysł po prostu nie przyjmował do wiadomości. Nieraz takie doświadczenie wiązało ludzi ze sobą; równie często bezsilność czyniła wrogów ze wszystkich obecnych. Ava i Mabel nie przepadały za sobą.

Ava była silna i gibka, ręce miała prędkie niczym moka-syn błotny. Taka szybkość przydawała się do zbierania bawełny i do prania maluchów po twarzy za lenistwo i inne grzechy. O swoje kury troszczyła się bardziej niż o te dzieci, więc łakomie patrzyła na działkę Cory, bo chciała rozbudować kurnik. Tyle ziemi tylko dla niej, mówiła, cmokając. To marnotrawstwo. Co noc Ava i Cora spały obok siebie na poddaszu i choć tłoczyły się tam z ośmioma innymi osobami, Cora wyczuwała niechęć Avy, która niosła się przez drewno.

Oddech tej kobiety był kwaśny, wręcz ociekał wściekłością. Umyślnie szturchała Corę za każdym razem, gdy wstawała za potrzebą.

– Teraz mieszkasz w Hobie – oznajmił Corze Moses pewnego dnia, kiedy skończyła pomagać przy belowaniu i wróciła do domu.

Moses dokonał z Avą jakiegoś handlu wymiennego. Odkład zarządca Connelly awansował na nadzorcę tego parobka, jednego ze swoich sługusów, ten przyjął w chatach rolę intryganta. Porządku na polu, jakkolwiek był, należało pilnować, a pewnych rzeczy nie mógł zrobić biały. Moses zgodził się z entuzjazmem. Cora uważała, że miał wredną twarz, podobną sękowi wyrastającemu z pękatego, spoconego pnia. Nie zdziwiła się, gdy prawdziwy charakter Mosesa wyszedł na jaw – zawsze tak jest, jeśli tylko się dostatecznie długo poczeka. To pewne jak wschód słońca. Przemknęła ukradkiem do Hobu, dokąd wrzucano nieszczęśników. Nie było ucieczki, bo nie istniały żadne prawa oprócz tych zmienianych z dnia na dzień. Ktoś zdążył już przenieść jej rzeczy.

Nikt nie pamiętał nieboraka, któremu ta chata zawdzięczała nazwę. Żył na tyle długo, by ucieleśnić pewne cechy, zanim one go zgubiły. Do Hobu trafiali okaleczeni wskutek kar zarządców, do Hobu – złamani pracą w sposób widoczny i niewidoczny, do Hobu – ci, co postradali zmysły. Do Hobu trafiały zbłąkane dzieci.

Na początku żyli tam niesprawni, wybrakowani mężczyźni. Potem w Hobie zamieszkały również kobiety. Biali mężczyźni i brązowi mężczyźni brutalnie używali ciał kobiet, które rodziły karłowate, pokurczone niemowlęta, a wskutek

bicia traciły rozum i powtarzały w ciemności imiona swoich zmarłych dzieci: Eve, Elizabeth, N'thaniel, Tom. Cora zwinęła się na podłodze głównego pomieszczenia, bo za bardzo bała się spać na górze z tymi nieszczęsnymi istotami. Przeklinała w duszy własną małostkowość, ale była wobec niej bezsilna. Patrzyła na ciemne kształty. Kominiek, belki podtrzymujące poddasze, narzędzia zwisające z gwoździ na ścianach. Po raz pierwszy spędzała noc poza chatą, w której się urodziła. Sto kroków od niej, a jakby sto mil.

Wcielenie przez Avę w życie następnego etapu planu pozostawało kwestią czasu. Musiała jeszcze zмагаć się ze Starym Abrahamem. Stary Abraham wcale nie był stary, ale odkąd tylko nauczył się siedzieć, zachowywał się jak sędziwy mizantrop. Nie miał żadnych planów, ale chciał pozbawić Corę działki dla zasady. Dlaczego on i wszyscy inni mieli uznawać roszczenia dziewczynki tylko dlatego, że dawno temu tę ziemię skopała jej babka? Stary Abraham nie považał tradycji. Zbyt wiele razy go sprzedawano, żeby coś takiego leżało mu na sercu. Kilkakrotnie, gdy Cora, chodząc na posyłki, go mijała, słyszała, jak namawia innych do redystrybucji jej działki. „Cała ta ziemia dla niej!” Całe trzy metry kwadratowe.

Potem przybył Blake. Tego lata Terrance Randall przejął obowiązki, przygotowując się do dnia, kiedy plantacja będzie należeć do niego i brata. Kupił gromadę czarnuchów z Karoliny Północnej i Południowej. Było ich sześciu, ze szczepów Fanti i Mandigo, jeśli wierzyć handlarzowi, o cie-

le i usposobieniu przystosowanych przez naturę do ciężkiej pracy. Blake, Pot, Edward i reszta stworzyli na ziemi Randallów własne plemię i nie wahali się sięgać po to, co do nich nie należało. Terrance Randall dał do zrozumienia, że to jego nowi ulubieńcy, a Connelly zadbał, by wszyscy o tym pamiętali. Uczyleś się nie wchodzić im w drogę, kiedy mieli zły humor albo w sobotni wieczór, gdy wypili cały cydr.

Blake był mężczyzną wielkim jak dąb, karmionym podwójnymi racjami, i prędko dowiódł, że Terrance Randall ma zmysł do inwestycji. Wystarczyło pomyśleć, ile zysku przyniosą same tylko dzieci takiego byka. Blake często urządzał zapasy z kompanami albo z każdym chętnym, wzniecał kurz i zawsze wychodził z tych pojedynków zwycięsko. Podczas pracy jego dudniący głos niósł się po polu, a wtedy nawet ci, co go nie cierpieli, nie mogli sobie odmówić i śpiewali razem z nim. Miał obmierzły charakter, ale głos wydawał z siebie taki, że robota szła.

Po kilku tygodniach węszenia i oględzin północnej polówki Blake uznał, że działka Cory to dobre miejsce, by przywiązać psa. Słońce, wiatr, niedaleko. Kundel przyplątał się podczas wyprawy do miasta. Został przy Blake'u, kręcił się w pobliżu wędzarni, kiedy mężczyzna pracował, a w pełne ruchu noce Georgii obszczekiwał każdy hałas. Blake znał się trochę na stolarce – tym razem nie było to kłamstwo zmyślone przez handlarza dla podbicia ceny. Zbudował psu budę i domagał się uznania. Komplementy dostawał szczere, gdyż buda wyszła ładna, równa i foremna. Miała drzwiczki na zawiasie, a na tylnej ścianie wycięte otwory w kształcie słońca i księżyca.